

Jan Bocian, jak się okazało, mówił nieco po portugalsku, jednakże jeszcze słabiej niż po łacinie. Za to jego rodzima mowa, charkliwa i dziwaczna, kłopotowała każdego z pasażerów. Nie dało się z niej wyłowić choćby jednego zrozumiałego i miłego dla ucha słowa. Jakby miał kamienie w ustach i tarły się one jeden o drugiego, myślał Baltazar de Castro. Lub jakby w twardej desce cieśla chciał wydrążyć dziurę.

Rozmowy z Portugalczykami prowadził głównie ów sternik, który przedstawiony im został jako Bram ter Bogh, żeglarz z Niderlandów. Niegdyś pływał na kogach Hanzy i dla holenderskich kupców z Amsterdamu i Antwerpii na Bałtyk, a pod polskim dowództwem służył nie po raz pierwszy - zaciągnął się już do kaperskiej floty polskiego króla, atakującej kilka lat temu krzyżackie szlaki handlowe na Morzu Bałtyckim. Wtedy jako korsarz poznał się z Janem Bocianem.

- Jak zwie się wasz statek? - spytał Holendra Baltazar, gdy ten zablokował ster.

- „Święci Piotr i Paweł” - odrzekł.

- Piotr zatem czy Paweł? Księżę Apostołów czy też Apostoł Narodów z Tarsu sprawuje nad nami opiekę? - próbował ustalić Baltazar.

- Wedle mnie obaj. Lepiej jednak spytać o to kapitana. Dla mnie mógłby się nazywać nawet „Kozia Dupa”, byleby sprawnie brał skręty pod wiatr.

Jan Bocian dowodził swą jednostką nietypowo, bo z tylnego kasztelu. Z tego miejsca miał dobry widok na ocean, stał więc tam często i wypatrywał ciemnych chmur i sztormu. Jego statek przeżył już wiele starć z żywiołem, o czym przypominały skrzypiące przy każdym przechyle deski. Kotłował się na fali jak kawałek korka albo ogryzek jabłka, pozornie niezdolny do pójścia na dno. Załoga wiedziała jednak, że jest inaczej. A najgorszego spodziewali się dopiero u kresu

podróży. Bałtyk swymi płytkimi wodami przypominał wielką kałużę po deszczu, którą nawet najdrobniejsze tchnienie wiatru marszczy w jednej chwili. Bocian i Bogh zbyt długo pływali wokół Europy, by nie wiedzieć, że nie ma równie niebezpiecznego akwenu. Wyruszyli tak, by na Morze Bałtyckie dotrzeć wczesną wiosną. Nie da się wtedy wykluczyć sztormów, choć są one rzadsze niż zimą. Może lody chociaż ustąpią, kry się rozejdą i morze dopuści ich do brzegu.

- Dalibóg, pogoda nam sprzyja. Wiatr wieje, flauta nie grozi - rzekł z satysfakcją Bram ter Bogh podczas kolacji, na którą podano jedynie solone śledzie i rozcieńczone wino. Ładownie statku zawierały znacznie bardziej smakowity prowiant, ale był on na sprzedaż. - Nie dziwo-ta, specjalnie zwlekaliśmy z załadunkiem, aby wyruszyć w piątek.

- To istotne? - zainteresował się Baltazar.

- A i owszem. - Holender przerwał na chwilę, by odrzeć śledzia ze skóry, i palcami wybierał wnętrze. Przełknął i kontynuował: - Hiszpanie prawie zawsze wypływają w morze w piątki. I nam się powiedzie, skoro idziemy ich śladem, bo to szczęśliwy dzień.

- Dlaczego?

- Tak wyruszył w swą wyprawę Krzysztof Kolumb. Trzeciego sierpnia 1492 roku, gdy odbijał z portu w Palos, był piątek. A „Santa Maria”, „Niña” i „Pinta” wszak szczęśliwie dotarły do celu, przez nieznane.

- Przy czym „Pinta” pierwsza - wtrącił swoje Jan Bocian. On jeżdżenia śledzi specjalnie nie celebrował, zjadał rybę w całości, razem z głową i płetwami, po czym krótkimi charchnięciami usuwał z gardła ości.

- A jakże! We flocie Kolumba była najszybsza. Zdałby się nam taki statek, prawda, kapitanie?

- Och, pewnie! Raz-dwa byśmy przemknęli.

Po pierwszej porcji solonych śledzi konieczny był łyk wina. Po nim przysłała mu ochota na kolejne ryby, a świeży powiew oceanu zaostrzał apetyt. Baltazar rozejrzał się po małej mesie. Poza nim i Álvaro Castanhedą zgromadzili się tu oficerowie i wachtowi, elita załogi „Świętych Piotra i Pawła”, choć i tak kreatury były to niezgorsze. Naprzeciw niego zasiadał Jurgo von Danczk z Rostocku - marynarz o nadzwyczaj długich rękach. Z boku miał Jana Gelhora z Gdańska, o wroście równie nikczemnym jak spojrzenie. Z lewej rozsiadł się mat zwany Ziębą, nie wiadomo skąd się wywodzący, który niemal po każdym kęsie zatruwał powietrze mesy głośnymi pierdnięciami. Zaraz po prawej usadowił się, o ile Baltazar dobrze zapamiętał, niejaki Belopp, który z pochodzenia był Szwedem albo Inflantczykiem. Jego obecność była nader uciążliwa z uwagi na to, że czy na morzu, czy na lądzie brak słodkiej wody zdatnej do kąpieli niespecjalnie mu wadził. I to od lat. Największe przerażenie budził jednak niejaki Rakwicz z jakiejś mieściny w Polsce, której nazwy nie sposób było spamiętać. Marynarz ten zwany był przez resztę załogi Lewiatanem z uwagi na potworną szpetotę jego wielkiej, monstrialnej wręcz gęby. Wydlubane czymś oko pozostawiło po sobie niezagojony do końca, ostrupiały oczodół, a ucho odjęte małą precyzyjnym cięciem zwisało niczym strzęp skóry. Lewiatan niemal się nie odzywał, jedynie rechotał co jakiś czas, pokazując przy tym poczerńiały język, czym udawał, że jednak go ma. Bo wśród załogi Jana Bociana kilku marynarzy pochwalić się jego posiadaniem nie mogło. Wieść na statku głośiła, że kapitan wykupił ich już niemych z niewoli, czy to saraceńskiej, czy też od wierzycieli w Lubece. Inni za to twierdzili, że sam im poobcinał języki za bunt lub z zamiarem, by jego rozkazy wykonywali bez słowa.

Każdy z nich na morzu spędził kawał życia. Baltazar wiedział, że ów czas można łatwo obliczyć, niczym po słojach wiek drzewa, zagładając im w gęby, co samo w sobie wymagało wielkiej odwagi i mocnego wdechu. Im dłużej bowiem kto pływał, tym więcej zębów niszczył mu szkorbut. O ile Álvaro Castanhedzie pozostało ich kilka, to taki Jan Bocian zachował jeszcze mniej, Rakwicz - zaledwie pięć, a Belopp może i żadnego, bo gęby nie otworzył ani razu.

- Wierzymy, że każdy, kto wypłynie w piątek, może liczyć na szczęśliwe wiatry i uniknie spotkania z bestiami morskimi - mówił dalej holenderski miłośnik szybkich hiszpańskich karawel. - Ażeby jednak na tym nie poprzestać i nie kusić losu, nasz kapitan zadbał przed wypłynięciem o dalsze poręki.

- Jakie na przykład? - zapytał Baltazar, zając kolejnego śledzia.

- Ano wynajął dziewczkę portową - rzekł Bogh, ale nim Baltazar zdążył udławić się ością, uspokoił go: - Tak, aby weszła na pokład, gdy statek stał jeszcze w porcie i paznokciem zdrapała drzazgi u podstawy masztu. - Po czym bez krępacji dodał: - Zapłacił jej za to pięćdziesiąt reali, a żeby dziewczki tak szybko nie odsyłać, dołożył jeszcze sto. Tak, aby i podstawę jego masztu palcami poskrobała...

- He-he - zarechotał lubieżnie ktoś z zebranych.

- Do czego to ma prowadzić, poza drzazgą w palcu? - zdziwił się Álvaro Castanheda.

- Zadrapanie masztu przez niewiastę chroni przed syrenami, które swym śpiewem ściągają statki na manowce. Te kusicielki morskie, same także będąc płci żeńskiej, nie zbliżą się do statku zadrapanego przez inną. O ile ta na jego pokładzie nie zostanie. Na morzu, jak powszechnie wiadomo, żadnych niewiast być nie może. Żadnych! Inaczej biada nam!